Nr. 1. We Lwowie dnia 2. stycznia 1898. Rok 6.

TYDZIEŃ

Dodatek literacki „Kurjera Lwowskiego“

pod kierownictwem Bolesława Wysłoucha.

Świadomość narodowa u ludu.

Nieraz słyszałem taką skargę:

— Chłop nasz nie ma świadomości narodowej. Zapytać go, kim jest? Najczęściej odpowie: „katolikiem“, „cesarskim“ lub w najlepszym razie — „mazurem“, „góralem“, „szlązakiem“ itp.

Przykrem w istocie człowiek się przejmuje uczuciem, gdy wobec tego zwróci się choćby w zapadłe kąty najbardziej do niedawna przygnębionych ludów reszty Słowiańszczyzny. W wędrówkach po ziemiach słowiańskich nieraz zdarzało mi się znaleźć w takich „kątach“, gdzie półtysiąca lat władztwa najbardziej obcego religijnie, narodowo i kulturalnie dla natury słowiańskiej — władztwa turecko-muzułmańskiego, starło znaczną część cech pierwotnej natury. Na półwyspie Bałkańskim dużo jest okolic, gdzie ubiorem i obyczajami Słowianin niczem się prawie nie różni od Turka, a w mowie 50% naleciałości języka tureckiego. Język bułgarski — jak wiadomo — nietylko leksykologicznie, ale nawet morfologicznie, tak się wynaturzył, że nawet zatracił spadkowanie, tę kardynalną cechę języków słowiańskich, a posiada przedimki (article) — jak języki romańskie lub germańskie.

Ale proszę zaglądnąć np. w dolinę rzeki Strumy. Mieszka tam plemię S z o p ó w, najbardziej upośledzone w całej bułgarszczyźnie: śmieją się tam z niego i na fundusz biorą gorzej, niż naszego poleszuka, który się broni, jak może przeciw napaści:

— Ja ne czołowik, ja połyszuk!

Szop się nie wypiera swej nazwy, ale też wnet z dumą dodaje:

— Az błgar!

I to nietylko teraz, gdy istnienie niezależnego księstwa bułgarskiego znacznie podniosło poziom odrębności i samowiedzy ludu, ale tak było i przed 20 laty, za czasów największego władztwa effendich stambulskich.

A cóż mówić o plemionach serbskich, gdzie tradycje samoistności i odrębności narodowej i państwowej wibrują z siłą nieprzepartą nietylko w wolnej od wieków Czarnogórze, ale i w nizinach dunajskich Kralewiny, i w Bałkanach macedońskich z całym cyklem nieśmiertelnego eposu bojów z pola kosowego!

Ba, nawet w Moskwie, tej Moskwie, w której po półtrzeciawiekowem jarzmie mongolsko-tatarskiem, carat w ciągu drugich trzech wieków wysila się na to, aby zda się zdusić aspiracje samodzielności ludu własnego, — taki kacap z pod Muroma rozwija i podnosi sztandar obrony ziemi ojczystej, czy to za czasów hetmana Żółkiewskiego, czy przeciw Napoleonowi I lub III-mu, a dziś z większą jeszcze dumą i samowiedzą, niż ów Szop bułgarski zapewnia, iż jest p r a w o s ł a w n y m, ale wnet dodaje illustrację:

— Ja russkij!

Choć to „russkij“ zamiast „moskwicz“ wtłoczone mu w gardło zostało gwałtownie ukazem carycy Katarzyny, ale się przyjęło, zamalgowało się z całą jego naturą i stało się

wyrazem świadomym jego samowiedzy narodowej.

Czemużby takiej samowiedzy nie miał mieć ten lud, który własnemi oczyma patrzył na to — jak do jego stolicy wprowadzano w łańcuchach carów tamtego?

Kwestja to nie łatwa do wyjaśnienia i zależna od wielu naraz czynników, działających spółrzędnie na umysł, pamięć i uczucie ludu, a często sprzecznie.

(C. d. n.). *Ew—an.*

PANIENKA.

OBRAZEK.

— Eh, bonjour! I pan tu? wiekuisty mistrz ceremonji.

Staruszkowie uścisnęli się za ręce.

Mistrz ceremonji, okazały, z siwą brodą, we fraku i złotych okularach, ale spocony jak zwykły śmiertelnik, otarł czoło fularem i nadął zlekka policzki.

— Tak, trzeba ciągnąć taczkę życia, tym razem aż na trzecie piętro! — odrzekł, wchodząc zwolna na schody. — Masz pan tam kogo na pensji?

— Mais oui, cette petite, vous savez... la fille de cette pauvre Ada.

Mistrz skinął głową, jakkolwiek nigdy o biednej Adzie nie słyszał.

Kroczył naprzód; staruszek dreptał za nim, wachlując się szapoklakiem

Schody na trzeciem piętrze ubrano roślinami, dwa oleandry stały na straży u drzwi otwartych na rozcież.

Z głębi mieszkania dolatywał szmer stłumiony, na który składały się: szelest sukien, ruch wachlarzy, przyśpieszony oddech i uderzenia setki serduszek, jako też głuchy głos pięknego profesora geografji, który w tej właśnie chwili zaczął czytać w głównej sali nazwiska uczenic, które otrzymały promocje do wyższej klasy.

Olbrzymia sala wypełniona po brzegi; we drzwiach tłum panów i pań, którzy przy najlepszych chęciach do sali wcisnąć się nie mogli. Upał taki, jaki bywa tylko na popisie pierwszorzędnej pensji.

W głębi sali ustawiono uczenice w bronzowych mundurkach, w białych fartuszkach; malutkie na przodzie, najstarsze aż pod ścianą, tworzyły zbitą masę jasnych i ciemnych główek o różowych twarzach i wylęknionych oczach.

Cała ta masa, zwykle niesforna, skamieniała na chwilę, zahypnotyzowana widokiem uroczystego personelu nauczycieli, uroczystych gości, którzy zasiedli w półkole w drugim końcu sali. Matki, siostry, kuzynki w eleganckich letnich toaletach otaczają stół, na którym złożono kilkanaście książek w czerwonych i niebieskich okładkach ze złoconemi brzegami, świadectwa i dyplomy między dwoma olbrzymiemi bukietami róż żółtych i ponsowych, napełniających duszną atmosferę odurzającą wonią.

Za stołem, w fotelu o wysokiej rzeźbionej poręczy, zasiadła pani przełożona, żółta i sucha jak mumja, w czarnej jedwabnej sukni, w czarnej koronce na siwych włosach; z przymkniętemi oczyma słucha długiej litanji imion i nazwisk, czasami drgnie zlekka, gdy piękny profesor przekręci nazwisko lub imię; przed chwilą przeczytał Wanna zamiast Wanda, na co ksiądz, siedzący po prawej stronie, uśmiechnął się nieznacznie, a mistrz ceremonji ani drgnął.

On umie zachować powagę nawet w zabawnej sytuacji, gdy takową zaszczyca swoją obecnością.

Profesor czyta dalej: pot kroplami spływa mu po twarzy i ginie w czarnym zaroście; nazwiska uczenic głuchem echem rozlegają się w przepełnionej sali.

Gorąco obezwładnia wszystkich: damy przestają się wachlować; spoglądając omdlewającym wzrokiem na szeregi dziewczynek, uśmiechają się do znajomych.

Wszyscy z niecierpliwością oczekują końca, a profesorowie z przyzwyczajenia spoglądają na zegarki.

Uczenice utkwiły wzrok w książki, ułożone na stole, a tylko śmielsze spoglądają po sali ukradkiem Przekonane są, że goście ogromnie interesują się nagrodami, zapamiętają raz na zawsze tę, która zostanie odznaczoną, tymczasem z pogardą patrzą na te, które nie dostały promocji!

Dotknięte niesprawiedliwością losu czują gwałtowny żal do pięknego profesora za to, że tak głośno przeczytał ich nazwiska! Nie przebaczą mu tego nigdy! Chociażby rodzice oddali je na inną pensję, gdzie panuje większa sprawiedliwość, to i tam jeszcze będą czuły do niego żal i niechęć.

Gromadka nieprzejednanych zwiększa się w miarę czytania nazwisk.

Szczęśliwsze uwielbiają pięknego profesora, opierają się o ściany ukradkiem, gdyż baczny wzrok dam klasowych sledzi każdy ich ruch i natychmiast przywołuje do porządku

Dziewczynki prostują się, czerpiąc siły w niepokoju i ciekawości. Każda już poraz setny przeliczyła wzrokiem książki na stole — kilkanaście sztuk zaledwo! po dwie, trzy na każdą klasę! Co za skąpstwo! Czy warto pracować cały rok, skoro nikt tej pracy uznać i wynagrodzić nie umie!

„Dorosłe“ w ostatnim szeregu pod ścianą mają wszystkie świeże róże przy stanikach i rumiane twarze, trochę z gorąca, ale więcej ze strachu i wzruszenia, chociaż udają, że są zu-

pełnie spokojne, nagrodami się nie interesują — uczyły się przecież dla siebie, nie tam dla jakiejś marnej książki! Ładne dziewczęta, smukłe, świeże, inteligentne, rozglądają się po sali, udając lekceważenie dla książek, a jeszcze większe dla listów pochwalnych! Tymczasem jednak serca drgają z niepokoju; wszystkie wiedzą, że są trzy kandydatki do pierwszej nagrody, nagrodę zaś przyznano tylko jednej!

Mela Daktyl, ruda żydóweczka, wysunęła się naprzód, żeby nie stracić ani sekundy, gdy jej nazwisko wymienią. Dla niej świat cały zamknął się w tej chwili w jednej z książek, leżących na stole, w najgrubszej i najbardziej złoconej! Pracowała strasznie; wszystkie kursa umie na pamięć od początku do końca i odwrotnie, pewną jest nagrody, pomimo to drży, jak w febrze.

Wysuwa się naprzód i gryzie wargi, gdy ją koleżanka nieznacznie za suknię pociągnie; wszystkie jej zazdroszczą, chciałyby ją w kąt zepchnąć, ale ona się nie da; zawsze wysuwała się naprzód i teraz nie ustąpi! Postąpiła parę kroków, drżąca, czerwona, prawie nieprzytomna ze wzruszenia.

Mania Łaszcz, śliczna jak słońce blondynka, urodą i wzrostem przewyższa cały tłum w bronzowych mundurkach. Wyprostowana, z podniesioną głową, rozgląda się wesoło po sali, przesyła całusy matce i stale udaje, że nie widzi znaków telegraficznych dam klasowych. Co ją to wszystko obchodzić może! Za godzinę wyfrunie raz na zawsze z tej nudnej klatki, ubierze się w barwne piórka i będzie jedną z najbardziej pożądanych panien na wydaniu! Nagroda jej się należy: ma same piątki, nawet od starego matematyka, pomimo, że nigdy nie mogła się nauczyć tabelki mnożenia! Lubi książki w ładnej oprawie i cieszy się zawczasu, że wszystkich oczy zwrócą się na nią, gdy wyjdzie na środek sali!

Cała klasa jednak przyznaje pierwszeństwo Stasi Byczek. Będą strasznie oburzone, jeżeli ją nagroda ominie! Daktyl pilnością i spokojem pozyskała sobie wszystkie nauczycielki, za piękną Manią głosują wszyscy profesorowie ze starym matematykiem na czele, Stasia Byczek ma za sobą uznanie, szacunek i miłość koleżanek — jest najrozumniejszą i najpoważniejszą z całej klasy.

Uboga sierota, wychowana z łaski, zniosła już dotąd niejedno upokorzenie, pamiętają o tem wszystkie i potrafią okazać swoje uznanie, w razie gdyby jej się stała krzywda! Wszystkie są za nią, może trochę na złość ślicznej Mani, która zadużo myśli o swej urodzie i zanadto lekceważy sobie całą klasę. Wczoraj na zebraniu postanowiły, że jeżeli Stasia Byczek nie dostanie pierwszej nagrody, nie pożegnają się z żadnym profesorem, a wychodząc z sali nie spojrzą nawet na panią przełożoną.

Z niecierpliwością wyczekują rozdania nagród, a tymczasem spoglądają wymownie na Stasię, która stoi przy oknie w nowiutkim mundurku, który dziś zrana ciotka zakonnica przyniosła jej zawinięty w prześcieradło wraz z nowym fartuszkiem i nowemi bucikami! Nowości te krępują swobodę dziewczyny, przyzwyczajonej do bardzo starego ubrania. Wie, że wśród gości znajduje się litościwa dama, która ją tak hojnie obdarzyła i że po popisie będzie musiała podziękować jej za to. Myśląc o tem, zapomniała o nagrodzie, spuszcza oczy, żeby nie widzieć chłodnego wzroku pani przełożonej, której się obawia i nie lubi.

Pomimo to oczy ich spotykają się od czasu do czasu, wówczas obie odwracają głowę nieznacznie. Przełożona przygarnęła sierotę po śmierci swej jedynej córki... dobry uczynek miał jakoby ukoić ból, złagodzić cierpienia, w istocie zaś jątrzył bolesną ranę, budząc ukryty żal do wszystkich zdrowych i ładnych dziewczynek.

Drażniły ją pochwały, oddawane tej Byczkównie, nie lubiła i chciała się pozbyć jej jak najprędzej. Wszystkie te, które dziś kończą pensję, były koleżankami jej jedynaczki Wyrosły, rozkwitły.. a tamta zgasła... Byłaby taka śliczna, piękniejsza może, niż one... Z litości wychowana Byczkówna miała złagodzić w jej sercu żal po ukochanem dziecku...

Eh, banalne frazesy utarły się jako prawdy wszechludzkie; ludzie udają, że w nie wierzą, przypisują sobie i bliźnim te uniwersalne recepty, które, zamiast ulgi, tylko szkodę przynoszą.

Ksiądz profesor zaczął rozdawać nagrody. Po sali rozległ się szmer zadowolenia. Malutkie, następnie starsze wychodziły jedna za drugą, sięgały drżącemi rękami po książkę, kłaniały się i wracały na miejsce, przyciskając do piersi otrzymaną nagrodę.

„Dorosłe“ poprawiały nieznacznie kwiaty u staników. Trzy kandydatki do pierwszej nagrody stłumiły oddech w piersiach. Nawet Mania-słońce przestała się uśmiechać.

Ksiądz profesor z prześliczną książką w ręku, spostrzegłszy Stasię u okna, uśmiechnął się życzliwie; wiedział, że nagroda ta sprawi wielką radość siostrze Tekli, której biały kornet widział u drzwi na tle czarnych fraków i jasnych toalet.

— Stanisława Byczek! — zawołał z zadowoleniem w głosie.

Stasia stanęła jak w ogniu: pierwszy raz usłyszała swoje śmieszne nazwisko, wygłoszone wśród tak licznego zebrania. Wolałaby może nie dożyć tej chwili.

Mania Łaszcz podrzuciła ramionami lekceważąco, a Matylda Daktyl uczuła szum w uszach i cofnęła się w kąt, za plecy koleżanek.

Przełożona przymknęła powieki, czekała, aż Byczkówna odejdzie... W jej przekonaniu ta dziewczyna okradła tamtą ze zdolności, ze wszystkich zalet i nagrodę dostaje tylko dzięki temu, że tamta nie żyje... Jej Zosia byłaby przecież pierwszą uczenicą..

Ksiądz profesor przeczytał jeszcze parę nazwisk, jeszcze parę wysmukłych dziewcząt zbliżyło się do stołu, a tymczasem koleżanki otoczyły Byczkównę, która tryumfowała!

W sali zapanował gwar, zgiełk; goście oglądali rysunki i roboty; kilkadziesiąt dziewcząt ożyło nagle po godzinnem odrętwieniu cisnęły się do matek, każda miała coś niezmiernie ważnego do powiedzenia, każdej się zdawało, że jest u szczytu szczęścia, gdyż ma przed sobą parę miesięcy swobody, wypoczynku bez lekcji i bez książek!

Przez tłum dziewcząt i gości przeciskała się siostra Tekla, powiewając skrzydłami białego korneta Ona była najszczęśliwszą z całego otoczenia! Jej Staśka!... łzy szczęścia napływały do szarych oczu.. Czerwona, poczciwa twarz jaśniała radością.

— Staśka... ta... panienka śliczna!

Już dotarła do okna; gdy zastęp koleżanek znowu ją od Staśki oddzielił — zamieniały między sobą fotografje, przyrzekając solennie, że wszystkie za trzy lata zjadą się wszystkie z mężami i z dziećmi!

Staśka stała pochmurna ze wspaniałą książką pod pachą.

Siotra Tekla pociągnęła ją za rękaw mundurka.

— Stasieczko, chodź prędzej — zawołała zadyszana — pani hrabina odjeżdża! Chodź, dziecko, przypadnij jej do nóg, za mundurek, za buciki podziękuj, to ona, ta pani dobroczynna, sukienkę tobie sprawiła!

Ciągnęła ją za rękaw, wpatrzona w hrabinę, siwą jak gołąb staruszkę, którą przeprowadzały do drzwi wszystkie panie z przełożoną na czele.

Dziewczynki się rozstąpiły: Staśka przeszła koło nich blada, z zaciśniętemi wargami; śliczna książka wysunęła się z pod pachy i upadła na ziemię.

Do pani hrabiny dostęp był trudny: skłoniła głowę na pokorny ukłon siostry Tekli, na Staśkę nie spojrzała; wyszła z sali, opierając się na hebanowej lasce.

— Jutro pójdziesz do niej! — szepnęła siostra Tekla — jutro rano, przed mszą świętą pójdziesz do tej pani czcigodnej, do tej dobrodziejki twojej, ona ci sukienkę, buciki..

— Cicho, ciociu, wszyscy słyszą, wolałabym nie mieć tej sukni... — szeptała Stasia ze łzami w głosie.

Kilkanaście dziewczynek otoczyło zakonnicę, przyglądając się kornetowi, szarej sukni, ale ona tylko Staśką była zajęta.

— Dobre czyny trzeba sławić, dziecko moje, niech młode słyszą, niech pamiętają, że wspierać ubogich, to jakby Chrystusa wspierać — mówiła, kiwając głową w białym kornecie. — Sieroctwu twemu z pomocą przyszła, niech jej Bóg za to nagrodzi! Jutro pójdziesz do pani hrabiny, a teraz idź do pani Łaszcz, przypomnij, że obiecała ciebie na wakacje zabrać, idź, a pamiętaj, proś pokornie, żeby tę możną panią pozyskać; łaska to będzie dla ciebie wielka, w pańskim domu parę miesięcy przepędzisz, a tymczasem, my tu dla ciebie jakieś miejsce znajdziemy!

Patrzała na nią rozmiłowanemi oczami, pogładziła spracowaną ręką po twarzy.

— Panienko ty moja — szepnęła Bóg łaskaw na ciebie, Matka Najświętsza! Taką naukę otrzymałaś, honorów takich dostąpiłaś, a wszystko przez dobrych ludzi, przez miłosierdzie! Dzień i noc za nich Boga prosić powinnaś! No idź!

Otarła łzy i chusteczkę w rękaw schowała.

(C. d. n.). *Osloja.*

Kartki naukowe.

KILKA SŁÓW O GRAFOLOGJI

przez

Dr. M. Stefanowską.

Grafologja jest obecnie na porządku dziennym, wypada nam przeto pomówić, jak zapatrywać się na nią należy ze stanowiska naukowego. Postaramy się w dzisiejszej pogadance, o ile możności, znaleźć odpowiedź na pytanie, czy istotnie ze sposobu pisania odgadywać można szczegółowe cechy naszego charakteru, jak to grafologowie utrzymują.

Nie ulega wątpliwości, iż w większości wypadków, u osób dorosłych, mających wprawę w pisaniu, pismo posiada swą fizjognomję. Przemawia ono do nas w podobny sposób, jak rysy twarzy ludzkiej; na widok pisma nieznajomej nam osoby doświadczamy pewnego wrażenia, które nagle usposabia nas albo przyjaźnie, albo nieprzychylnie do tej osoby. Wprawdzie bywają charaktery pisma nic zgoła niewyrażające, lub też posiadające nie wiele wyrazu, podobnie jak niektóre twarze. Grafologowie nie powinniby przeto zapominać, iż przepisy ich nie mogą być zastosowane z jednakową pewnością do wszystkich charakterów pisma.

Przesadą byłoby również mniemać, iż pewne kształty liter oznaczają niechybnie tę

lub ową cechę charakteru piszącego, jak to utrzymywał ksiądz Michon, ojciec grafologji, oraz jego uczniowie. Byłby to istotnie niesłychanie łatwy sposób poznawania przedmiotu, tak wysoce złożonego, jakim jest dusza ludzka.

A jednak grafologja wiele powiedziećby mogła o naszem wewnętrznem ja, lecz trzeba umieć czytać jej jeroglify, dotychczas wszakże grafologowie nie znają jeszcze dokładnie jej abecadła. Doniosłym jest atoli fakt, że podniesiono grafologję do godności nauki, a mianowicie stanowi ona gałęź psychologji stosowanej i jako taka wzbudziła zainteresowanie między psychologami.

Pismo jest niczem innem jeno utrwaleniem ruchów naszej ręki, pochwyconych jakgdyby za pomocą szeregu fotografji; ruchy zaś zdradzają rozmaite stany naszego ducha. Oto zasada, na której opiera się grafologja. Pośpieszamy dodać, iż pismo nasze wtedy tylko posiada wartość dla grafologa, jeżeli piszemy tak, jak nam się podoba, jeżeli kreśląc litery nie usiłujemy nadawać im piękna kaligraficznego; gdyż w tym ostatnim wypadku pismo traci swą charakterystykę i staje się bezbarwnem.

Prócz tego pismo nasze, jak to niżej zobaczymy, podlega wciąż drobnym zmianom, zależnie od tego, o jakim przedmiocie i do jakiej osoby piszemy, i dlatego, aby orzec coś stanowczego o charakterze piszącego, grafolog powinienby posiadać kilka autografów, pisanych do rozmaitych osób. Jeden z najbardziej cenionych grafologów Crepieux-Jamin utrzymuje nawet, iż aby módz coś powiedzieć o charakterze osoby, trzeba znać jej otoczenie.

Czy podobna jednak przypuścić, aby znaki, które kreśli pióro nasze, miały zdradzać to, co się dzieje w naszej duszy w chwili pisania? Wszak ruchy pióra są ograniczone; przytem zmuszeni jesteśmy nadawać literom konwencjonalny kształt alfabetyczny. Wszystko to prawda, a jednak niema wątpliwości, iż pismo nasze ulega ciągłym drobnym chociażby zmianom, zapomocą których odbija się na nim nasze wewnętrzne usposobienie. Każdy z nas z łatwością spostrzedz to może na sobie; inaczej nieco piszemy, gdy jesteśmy smutni, a inaczej, gdy zwiastujemy komu radośną nowinę. Niepokój, zadowolenie, cierpienie itp. zawsze ślad pozostawiają na naszem piśmie; przekształca się ono także znacznie wraz z wiekiem osoby. A pomimo tylu najrozmaitszych odcieni, pismo danej osoby zawsze zachowuje swe cechy zasadnicze, po których je poznajemy: również i twarz nasza, wciąż zmieniając swój wyraz, zachowuje pomimo to swe podobieństwo.

Zdarzają się jednakże wypadki, w których pismo zmienić się może do niepoznania. Bywa ta częstem zwłaszcza przy rozmaitych chorobach umysłowych, pochodzących od rozstroju mózgu, ale także i przy innych ciężkich cierpieniach systemu nerwowego. Ciekawe nader rzeczy w tym przedmiocie czytamy u Preyera (Zur psychologie des schreibens, 1895 r.). W klinikach zaś chorób nerwowych profesorowie nieraz pokazują słuchaczom charakterystyczne pismo niektórych warjatów, tabetyków, epileptyków itp. Tym sposobem pismo obok innych symptomatów uwzględniane bywa przy djagnozie chorób nerwowych.

Dlaczego cierpienia systemu nerwowego wywierają tak wielki wpływ na zmianę wyglądu pisma? — zapytać może czytelnik. Oto dlatego, że pisanie jest czynnością nader skomplikowaną i zależną nietylko od ruchów naszej ręki, ale prócz tego ściśle jest związane z funkcjonowaniem naszego mózgu; przy pisaniu biorą udział rozmaite władze naszego umysłu, mające siedlisko swe w odmiennych częściach mózgu. Niech no jeden lub kilka ośrodków mózgu zostaną uszkodzone, rozstrojone, jak to bywa w chorobach umysłowych, a odbije się to zaraz na charakterze pisma; zdarza się nawet, iż chory zupełnie pisać zapomina. Cierpienia mlecza pacierzowego również wywierają wpływ swój na charakter pisma.

O ile zaś pismo zmieniać się może pod wpływem wrażeń i uczuć, najlepiej widzieć się to daje przez poddawanie myśli w stanie hypnotycznym. Doświadczenia takie były po raz pierwszy dokonane wspólnie przez trzech uczonych: Ferrari'ego, Héricoura i Richeta, w 1886 r. Spostrzeżenia robione były na 19 letnim studencie, który łatwo zapadał w sonambulizm czuwający. W tym stanie poddają mu myśli, że jest przebiegłym i chytrym chłopem i każą mu list pisać. Potem robią go skąpcem, a nakoniec starym człowiekiem. W każdej z tych trzech ról student miał odmienne pismo, znacznie różniące się od jego sposobu pisania w stanie normalnym. Student tak dalece przejętym był narzuconemi mu rolami, iż przy każdej z nich wraz ze zmianą wyrazu twarzy, bezwiednie zmieniał i swe pismo.

Takież doświadczenie uczeni ci robili nad pewną panią, której kazano być Napoleonem, wydającym pośpieszny rozkaz w czasie bitwy. List pisany przez nią w tym stanie nosi na sobie wyraźną cechę pośpiechu i niepokoju. Potem Napoleona przekształcają w 12 letnią dziewczynkę, która pisze do swego wuja dziecinnym niewyrobionym charakterem pisma.

Z doświadczeń powyższych autorowie wywnioskowali, iż „ruchy wstrząsające ręką piszącej osoby, mają takież same źródło, oraz takież znaczenie, jak ruchy, twarzy, nadające jej wyraz. A dalej orzekli, iż gdy podczas doświadczeń spirytystycznych medjum zmienia swe pismo, to dzieje się to nie za sprawą rozmaitych duchów, kierujących jakoby ręką medjum, lecz wskutek poddawania mu rozmai-

tych myśli, przyczem następuje zmiana osobowości medjum, jak przy powyższych doświadczeniach w stanie sonambulizmu.

Charakter pisma, będący w zależności od budowy naszego ciała, posiada wspólną z nim cechę: pismo bywa niekiedy d z i e d z i c z n e, jak to zauważył już dawno Darwin. Nieraz, mówi on, widujemy podobieństwo między pismem syna i ojca, chociaż ten ostatni nie uczył pisać swego syna. Zauważono również, iż młodzi Anglicy, którzy odebrali naukę pisania we Francji, zachowują pomimo to taki sposób pisania, jak w ogóle piszą Anglicy. Podobieństwo pisma u ojca i syna bywa i wtedy nawet, gdy obaj mają odmienny rodzaj umysłu i charakteru.

Wreszcie zapominać nie należy, iż na charakter pisma wpływa nie tylko indywidualność jednostki, ale i społeczeństwo, wśród którego ona żyje. Kompetentne osoby utrzymują, iż gdy zacząć przeglądać rękopisy z XIV i XV stuleci, to z początku wydaje się, iż wszystkie owe rękopisy są do siebie podobne. Różnice między nimi występują dopiero po dokładniejszem zbadaniu. I odwrotnie, mylimy się również głęboko co do pisma naszego stulecia oraz pisma współczesnego nam społeczeństwa, nie dostrzegamy bowiem w owem piśmie podobieństw, bezwątpienia istniejących, natomiast widzimy jedynie charakterystyczne różnice.

Podobieństwo rękopisów danego stulecia pochodzi stąd, iż w piśmie wielką rolę odegrywa także n a ś l a d o w n i c t w o bądź świadome, bądź nieświadome, tak iż nawet najbardziej oryginalne pismo nie jest od niego wolnem. Stąd to wypływa, że rękopisy danego stulecia i danego kraju mają w sobie wiele cech wspólnych, jakgdyby należały do jednej rodziny.

Oto wśród ilu najróżnorodniejszych pierwiastków grafolog odnaleźć musi indywidualność jednostki, bacząc, aby nie wejść na manowce i nie pomieszać ogólnych cech z poszczególnemi. Żądanie jego nie jest bynajmniej łatwem i gruntowna znajomość psychologji staje się koniecznością, a właśnie teraźniejsi grafologowie, nawet najwybitniejsi, grzeszą brakiem tej znajomości.

Grafologja, jako umiejętność, niewątpliwie ma cel przed sobą, lecz obecnie jest dopiero w fazie zbierania materjału do zamierzonego celu.

Osieł i Morze.

Na piaszczystej mieliźnie
Szeptały morza fale drobne.
Szeptanie podobne
Słyszysz w poszmerze
Cytryn, kiedy po zatoce
Cichy wiew się prześliźnie
I o liść łopoce
Senny. I był, niby kochania,
Szept, frunący na wybrzeże,
Melodyjny i słodki, jak szmer nieustanny,
Który wydzwania
Strumień kroplisty, gdy o głąb fontanny
Trąca
Marmurowej,
Albo jak litanja
Mnisza, gdy z wieczora
W tumu stalach łka i echem polatuje drżąca
W krużganki i długo w muszlach nisz akord się słania
Jej minorowy:
»Pro nobis ora«.

Zdarzyło się, że Osieł, by zwilżyć kopyta,
Wszedł w Morze i tak je wita;
— O, jakieś ty płytkie
Moje Morze, zaledwie sięgasz mi po łydkę.
Znudzony podwórzem,
Głębi łaknąc, drepcę i cóżem
Znalazł? Gdziem jest? — W gnojowisku dużem,
Nieomal jak łąka, ale gdzież tu głębia?
Gdzie?... no, mówże!
Co?... milczysz. O, jakże przygnębia
Zawód. A ówże
Morza ryk sławny? Gdzie tu jakie ryki?
Co?... Na rozum ścisły
Biorąc, wszystko to wymysły,
Niewarte źdźbła wyki,
Arcyłganie, w kłamliwej urodzone gębie
I w głupstwie mulniczem,
A które ja zgnębię!

Uważ-no, jak my ryczym,
My, zwierząt wybrani! —
Tu ryknął. Zdawało się,
Że w zwierza krtani
Wrzeciądz rdzą zżartych zgrzytem skrzypły osie;
Podobnie trze, zgrzytając w szparze,
Piła wisząca, której kamieniarze
Używają żelazca do żłobienia w ciosie.
Skrzypią zębce raz przy razie
I, jako ku ochłodzie ich ciurkiem woda płynie
Ze stągwi, stojącej na głazie,
Tak nadlatywały fale
Ku Osła goleniom.
Skupiony w ryku, rykiem zuchwały, nie zważał w zapale
Na przypływ Osieł, choć już wyżej kolan
Był polan.

Dopiero, gdy głębsze srożej się rozpienią
Fale, gdy po słabiźnie
Morze go liźnie,
Poznał przecie
Grozę położenia. Nierychło! Już mu na grzbiecie
Pluszczą fal grzywy...
Zaskrzypiał z rozpaczą Osioł pół-żywy
I umilkł. Zwarły się kły fal białopiane,
Oto potężniejsze, nowe, dźwigną się wezbrane
Kabłąki fal i, ogromne, idą w ogniach zorzy
Purpurowe. Łuski fal migocą,
Pohuk chlupotania wód się sroży
I nad tonią jękliwe dzwonią łkania mew, na ląd
[przed nocą
Frunących, jak żagwie pogorzeli. Na wybrzeżu
Błądzi, jak mara, mulnik, rozpacza po zwierzu
I woła, lecz w silniejszym wichrze
Wołanie stawa się coraz cichsze, cichsze...

J. Lem.

Chora krytyka.

Rozprawia się dzisiaj wiele o chorej miłości, chorej sztuce, chorej literaturze i chorej krytyce. Rozprawia się wiele i słusznie, chociaż jednostronnie, bo się uwzględnia tylko zboczenia, pochodzące z wybujałości nerwowej, a pomija liczniejsze może i niebezpieczniejsze choroby, będące wynikiem filisterskiej beznerwowości.

A właśnie w tego rodzaju choroby my bardzo jesteśmy uposażeni, — w choroby, spowodowane nieraz objawem zdrowym, który w naszem, społeczeństwie, jak zbyt silny pokarm w zbyt wycieńczonem ciele, wywołuje na wierzch chorobliwe narośle, pryszcze i czyraki.

Najłatwiej o takie „czyraki" w naszej krytyce malarskiej. Długo spoczywała ona w niemowlęctwie, długo ograniczała się do sentymentalno-bezsensownych, choć w swojem zrozumieniu bardzo podniosłych bajdurzeń, gdy wtem jak grom uderzył w nią Witkiewicz. Z oburzeniem świętem apostoła nie szczędził razów nieukom i pozerom, a uzbrojony całym arsenałem fachowych wiadomości i technicznych terminów malarskich nie nakładał, ale przemocą wbijał w głowy publiczności odmienne zapatrywanie na sztukę. Ale Witkiewicz zbyt rychło umilkł, nie zdołał do gruntu przerobić artystycznych poglądów naszej krytyki, niezdołał jej przedewszystkiem nauczyć rozsądku, a skutek był taki, że garstka grafomanów, udających krytyków malarskich, przerzuciła się na przeciwny biegun i wyobraża sobie, że wymyślania jak najdosadniejsze i szermowanie specjalnemi wyrażeniami, których czytelnicy nie rozumieją, a przedewszystkiem sam piszący nie rozumie, jest dopiero znawstwem i krytyką prawdziwą.

Zaraza ta grasowała po fejletonach dzienników lwowskich, zwłaszcza podczas wystawy krajowej, kiedyto hr. Wojciech Dzieduszycki chciał uczyć Gierymskiego (tak!) malować portrety, a ks. Gnatowski zabawiał ludzi, znających się choć trochę na rzeczy, takiemi logicznemi kompozycjami, jak np. „deszcz światłocienia", dla których nazwa nonsensu jest stanowczo za słabą.

Po cięgach, jakie się wówczas dostały pt. grafomanom, ucichła jakoś ta zaraza malarsko-literacka aż dopiero w ostatnich czasach pojawiła się niebezpieczna jej-recydywa w odcinkach jednego z tutejszych pism pod tytułem „Z najnowszych prądów w literaturze i sztuce", a z podpisem: „J. L.".

Nieznany autor, pisząc o specjalnej wystawie obrazów, jaka odbywała się przez parę tygodni w „Pałacu sztuki", zaraz z początku przedstawia się jako typowy blagier. Mając bowiem zamiar wykroić swój strój z kawałków szaty Nordaua, czuje, że wypadałoby go zacytować, wspomina więc o nim mimochodem, jako o genialnym autorze „konwencjonalnych kłamstw", popełniając tem wcale niekonwencjonalne, ale owszem bardzo sprytnie obmyślane kłamstwo. Czytelnik bowiem, idąc za tą wskazówką naprożno będzie wertował wymienione dzieło, a pan „krytyk" tymczasem śmiać się będzie w kułak, bo on przepisał szereg myśli i zdań z innego dzieła tego autora, ze „Zwyrodnienia", nie troszcząc się wcale o to, czy one w obecnem zastosowaniu sens jakikolwiek mają.

Przemilczane te zaś cytaty upstrzył, jak powiedzieliśmy, wymyślaniami i niedorzecznemi kpinami, niegodnemi nawet żaka szkolnego lub niby fachowemi wyrażeniami, które powtarza jakby dzieci swoje słowne: „Inki pinki lodominki..." zupełnie, a zupełnie ich nie rozumiejąc.

Nie jest naszym zamiarem pisać kontrkrytyki dzieł, na które podobało się plunąć p. J. L., więc trzymając się ściśle tematu, wymienionego w tytule, przytoczymy parę próbek na dowód, że taka „krytyka" jeśli wolno tem mianem nazwać owe „fejletony", zasługuje co najmniej na nazwę chorej. A więc czytajmy:

„Na zewnętrznej ścianie jakiś b o h o m a z. Przypatrujemy się. Czyżby u l i c z n i c y pozwolili sobie l e k k o m y ś l n e g o ż a r t u i węglem spróbowali dać dowód swych artystycznych aspiracji? Z d a j e s i ę.. Chyba k a r y g o d n a o p i e s z a ł o ś ć m i e j s k i e j p o l i c j i dopuściła na takie z e s z p e c e n i e jednej ze ścian n i e d o s z ł y m f i g l a r z o m". — Tak się pisze o rysunkach p. Wyspiańskiego! — Ale idźmy dalej:

„Każdy djak, bawiący się malarstwem potrafi nakreślić takie bohomazy, byle mu dać czerwonej farby". To znów o obrazach p. Mehoffera. Czytając takieto elokubracje, czeka się mimowoli na sakramentalne: „szlag by cię trafił", albo „cholera na ciebie", aby mieć kompletne złudzenie „krytyki", dajmy na to, przygotowań wilijnych jednej pani majstrowej przez drugą panią majstrową...

Niechcąc, aby artykuł zbyt się rozrósł, niechcąc zresztą robić „krytykowi" zaszczytu zajmowania się jego studenckiemi elokubracjami, nie będziemy dalej cytować próbek tego rodzaju, ani też, jakto autor w fejletonie drugim powiedział, że „sztuka ma być odtworzeniem natury", po to, aby w fejletonie czwartym właśnie zaatakować naturalistów, za „dokładność obserwacji pojedyńczych faktów i objawów życia i ścisłości faktury", — jak wyrządził dotkliwą obelgę p. Makarewiczowi, zaliczając jego prace do „rysowanych i malowanych wedle starej metody", podczas gdy ten artysta pod jednym i drugim względem i stara się należeć i należy do najnowożytniejszych. Dla zaprodukowania jeszcze tylko „uczoności" autora przytoczymy jego pojęcie o rysunku, wygłoszone z powodu prac Wyspiańskiego. A więc proszę słuchać:

„Mam od dziecka artystyczną żyłkę i nic tak nie lubię, jak gryzmolić figurki na papierze. Cóż, niestety, kiedy... w mojej staroświeckiej naiwności wyobrażałem sobie, że na to, aby rysować, malować, wystawiać, potrzeba jeżeli już nie koniecznie znać reguły i warunki rysunku.. to przynajmniej mieć o tem jakie takie wyobrażenie. O dziwo jednak, o radości! pokazuje się, że to zupełnie niepotrzebne, w najbliższym czasie ofiaruję się całą salę pałacu sztuki zupełnić mojemi utworami".

Nietylko do malarstwa, ale także do jego krytyki potrzeba, mój panie, mieć choćby, „jakie takie wyobrażenie" co to jest rysunek. Tymczasem opuszczając wszystkie niemądre koncepta „pana krytyka", aby nas nie posądzono, że chwytamy go za słowo, wydobyliśmy ze słów jego samą tylko czystą rzekomą definicję rysunku i cóż z niej wynika? „Rysunek — da się ona innemi słowy powtórzyć — to jest... rysunek, a to jest źle narysowane, co mnie się niepodoba".

W takim razie, panie krytyku, wróć do szkoły. Tam dowiesz się, że rysunek oznacza wszystko, co się w obrazie pod pojęcie kształtu da podciągnąć, a więc podobieństwo linijne, jak w portrecie, proporcje postaci, ruch, wyraz twarzy, skrócenia perspektywiczne, że więc jeśli chcesz ocenić obraz, musisz odłożyć na bok swoje „podoba się — niepodoba", a spokojnie i bezstronnie rozważyć, czy odpowiada wszystkim powyższym warunkom, zanim powiesz, że rysunek jest złym.

Powiedzieć zaś człowiekowi, jak Wyspiański, że rysować nie umie, jest kompletnem nieuctwem i ślepotą artystyczną. Z kierunkiem jego wcale się nie zgadzam, nie będę protestował, jeśli mu ktoś zarzuci dziwactwo, ale właśnie skoro może sobie pozwolić na zbytek naśladowania drewnianych kształtów prerafaelickich, a mimoto przebija z tego talent i siła i obserwacja, to dowodzi, że artysta opanował tak rysunek, że — może sobie pozwolić na igranie z nim. Przecież jeśliby ktoś stanął na głowie przed fortepianem i w tej pozycji wykonywał mi z całą precyzją Szopena, mógłbym mu powiedzieć. „Mój panie! takie sztuczki do sztuki wcale nie należą, obróć się pan głową do góry i siądź na krześle" — ale nie mógł bym powiedzieć, że grać nie umie!

Tak więc mamy istotnie chorą krytykę, nawet dwie chore krytyki. Jedna migotliwa, goniąca za ekscentrycznością i ekstrawagancją, mniej niebezpieczna, bo jej skutki dadzą się wyleczyć, i gorszą od tamtej drugą, której próbkę roztrząsnęliśmy przed czytelnikami. Niebezpieczniejszą i szkodliwszą ją nazywamy, bo tamta jest chora nerwowo, ta zaś — umysłowo.

W. Dąbrowski.

Wiadomości bibljograficzne.

Andersen G. C. Baśnie i powiastki dla młodego wieku Poznań, nakł. i druk J. Leitgebra, 1898, w 8ce małej, str. 167 i 1 nl., z 6 kolorowymi obrazkami. Opr. 1 marka 60 fenig.

Bujwid O. dr. prof. Dalsze wyniki badań nad stosowaniem tuberkuliny u zwierząt domowych w celu ograniczenia gruźlicy (Z zakładu hygieny w Krakowie. — Odbitka z Przeglądu lek.). Kraków, 1897, w 8ce. str. 6.

Fedorowski Michał. Lud białoruski na Rusi litewskiej, materjały do etnografji słowiańskiej, zgromadzone w latach 1877—1881, wydawnictwo Komisji antropologicznej Akademji umiej., tom I: Wiara, wierzenia i przesądy ludu z okolic Wołkowyska, Słonima, Lidy i Sokółki. Kraków, nakł. Akademii, Spółka wydawnicza, 1897, w 8ce, str. XX i 509.

M. R. Snopek. Książka do czytania i nauki dla dzieci, ułożyła R. M., wyd. 3cie. Warszawa, A. Wizbek, 1897, w 8se, str. 226, i III., z ryc. w tekscie. 30 kop.

Porębowicz & Grabowski. Dzieje literatury powszechnej, z illustracjami, tom IV. część 2: Dzieje literatury nowożytnej, okres III.: Czasy prądów rewolucyjnych, opracowany przez Edwarda Porębowicza i Bron. Grabowskiego (Biblioteka najcelniejszych utworów literatury europ.). Warszawa, nakł. i druk. S. Lewentala, 1897, w 8ce, str. 2 i nl i 800 3 ruble.

Literatura francuska, włoska, hiszpańska i portugalska XVIII. w., przez E. Porębowicza; Literatury słowiańskie XVIII. w., przez Br. Grabowskiego.

Prażmowska Teresa: *Serce* powieść dla młodzieży. Warszawa: nakł. T. Paprockiego.

Z drukarni Z. Golloba.